

Nr. 45. Poznań, dnia 9 Listopada 1878. Rok I.

O PRZEKŁADZIE „Pana Tadeusza“

na język rosyjski

przez Berga.

Napisał S. T. D.

(Ciąg dalszy.)

Obraz siedziby szlacheckiéj i pierwsze chwile zjawienia się w niéj Tadeusza, byłyby wiernie i wdzięcznie oddane, gdyby nie różnica w przedstawieniu postaci Kościuszki, którego p. Berg okazuje nam z nogą opartą na dziale; nadanie mu takiéj nieco junackiéj pozy, niezgodnéj z oryginałem i ryciną bohatera z pod Maciejowic, pochodzi, jeźli się nie mylę, ztąd iż orzeczenie:

„. . . . . nogoju staw na puszku

końcówką swą doskonale rymuje z wyrazem „Kostiuszku.“ — Nie jest to zbrodnią w obec majestatu poezyi, ale niepotrzebną, choć zapewne może mimowolną rymową naleciałością, któréj jednak, zwłaszcza jeźli nielicuje z charakterem oryginału, starannie unikać należy.

Z pewną obawą przystępuję do wypieszczonego obrazu Zosi. Obok zupełnie innego typu kobiety, mianowicie, „Marji“ Malczewskiego, wyobraźnia poetyczna naszego narodu, wyniosła ją do takich wyżyn idealności, że długo jeszcze i może nazawsze pozostanie skałą o którą rozbijać się będą wszelkie tłumaczów i malarzy naszych zakusy. Mimowoli nawija się pamięci, niefortunne przerobienie „Marji“ Malczewskiego na dramat, pierwsze jéj przedstawienie na scenie przed dwudziestu laty, oraz niemały szereg prób penzla i rylca naszych artystów. Wspominam o tem gdyż przerobienie poematu na dramat, ilustracyą lub olejne malowidło, jednem słowem przekład na inny język jako i przelanie ideału z dziedziny słowa w plastyczne kształty i barwy, są niczem innem jak tylko rozmaitemi objawami jednéj i téj samėj chęci obdarowania innego zmysłu estetycznego lub innéj publiczności, niedostępnemi dla nich skarbami oryginału.

Owoż, na samym wstępie, opis pokoju Zosi nie robi tego wrażenia jakie oryginał obudza; braknie mu téj saméj atmosfery i tego wskroś niéj rozlanego a nieuchwytnego wdzięku co każe obecność dziewiczéj istoty przeczuwać. Pan Berg pominął w swym przekładzie wrażenie przez które przechodził Tadeusz gdy niepoznając dawnéj swéj komnaty

„. . . . . toczył zdumione źrenice“

równie opuścił tłómacz ten

„. . . . . nieporządek miły.“ . . .

który domyślać się kazał że

„*Niestare były rączki* co je tak rzuciły.“

Tonem sprawodawczym wspomina wprawdzie tłómacz o fortepianie, nutach i książkach, lecz takie suche wciągnięcie przedmiotów do regestru inwentarza, bynajmniéj domyślnego obrazu ich właścicielki niewywołują, a to właśnie u Mickiewicza stanowi główny wdzięk tego ustępu. Drobne napozór tego rodzaju usterki tem bardziéj naznaczyć wypada ile że zdają się stanowić ogólną cechowość tego przekładu, objawiającą się jakby w systematycznem obcinaniu wypełnionych poetycznych obrazów, a tem samem w obniżaniu ogólnego poziomu idealności. I tak, w opisaniu ogrodu zamiast barwnych szczegółów oryginału, tłómacz mówi o nim tylko że był „w poriadkie“ (w porządku), że przezeń wiła się „krasiwaja aleja“ (piękna ulica); potem zapytując: „no gdież sadownica?“ (lecz gdzież ogrodniczka), nietylko opuszcza opis „śladu“ Zosi, ale przeciwnie, zdaje się zaprzeczać jego istnieniu, gdy mówi: „Naprasno junosza iskał jeja śleda:“ (napróżno młodzian szukał jéj śladu); a jednak czytamy w oryginale:

„. . . . . blizko drzwi *ślad* widać nóżki
„Na piasku: bez trzewika była i pończoszki,
„Na piasku drobnym, suchym, białym nakształt śniegu,
„*Ślad* wyraźny lecz lekki; odgadniesz, że w biegu
„Chybkim był zostawiony nóżkami drobnemi
„Od kogoś, co zaledwie dotykał się ziemi.“

Czy może być coś w tym rodzaju bardziéj pięknego? widać jednak iż tłómacz inaczéj sądzi, kiedy cały ten ustęp opuścił. — Potem mówiąc o Zosi niewiadomo dla czego wprowadza jakiś mniemany litewsko-sielski zwyczaj:

„Wierna obyczaju litowskich dierewień“ *)
(Wierna zwyczajowi litewskich wsi)
„Pod wieczer, w czem była, w swój sad ona zbieżała“
(*Pod wieczór*, w czem była, w swój ogród wbiegła)

co niema najmniejszego związku ani z jakimś nieznanym *zwyczajem wieczornym* na Litwie ani z oryginałem Mickiewicza.

Następnie, zamiast wiernie oddania tekstu, który tak idealnie maluje niezrównaną prostotę i ledwie nie bezpłciowo-anielską niewinność młodziuchnéj Zosi:

„. . . . . Białe jéj ubranie
„Wysmukłą postać tylko aż do piersi kryje,
„Odsłaniając ramiona i łabędzią szyję.
„W takiem Litwinka tylko chodzić zwykła z rana,
„W takiem nigdy nie bywa od mężczyzn widziana:
„Więc choć świadka nie miała, *założyła ręce*
„*Na piersiach, przydając zasłony sukience.*

Zamiast tego, bezpośrednio po dwuwierszu wyżéj przytoczonym (Wierna obyczaju......), czytamy co następuje:

„WskoczIła na pletień, nie dumaja nimało,
„Czto szadi **) kto-nibud' jejo primietit' mog;
„Zabyła na plecza nabrosit' chot' płatok;
„Wkrug szejki biełaja soroczka otduwałaś
„I grud' wysokaja ottuda wybiwałaś.

Znaczy to po polsku:

Wskoczyła na płot, nie myśląc ani trochę,
Że z tyłu kto-bądź ją zobaczyć może;
Zapomniała na plecy narzucić choćby chustkę;
Wkrąg (w około) szyjki biała koszula oddymała się
I pierś wysoka ztamtąd się wybijała.

Tu niema już ani śladu powiewnéj, czternastoletniéj Zosi; między nią a tą zmysłową dziewką niema nic wspólnego. To typ zupełnie odrębny, ani polski, ani Mickiewiczowski; każdy swoje lubi, de gustibus non est disputandum, ale w takim razie należało tę korpulentną piękność do własnych, oryginalnych zachować utworów.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

---

*) Chcąc zadość uczynić licznym życzeniom, a w szczególności Dr. Wl. z Psz. żądającym bliższego oznaczenia *wymowy* rosyjskiego języka, przypomnieć muszę co wyżéj już powiedziałem, mianowicie iż tłómaczenie p. Berga pisane jest miarą jambiczną (◡ —); tym sposobem *skandując od początku danego wiersza*, jak to się praktykuje w poezyach starożytnych, greckich i łacińskich, łatwo dośledzić można wymowy każdego wyrazu umieszczonego na końcu lub we środku wiersza; chcąc zatem wiedzieć jak się np. wymawia *końcowy wyraz* przywiedzionego tu wiersza, *dierewień*, zacząć należy skandowanie od początku:

Wier-na | o-by | -cza-ju | li-tow | skich die | -re-wień | z czego łatwo się okaże iż *główny nacisk głosu* w wyrazie *dierewień* na ostatniéj zgłosce spoczywa; powtarzam *główny*, gdyż z wyjątkiem tych trzechzgłoskowych wyrazów, które wymową swoją stanowią naturalny amfibrachius, jak np. li-tow-skich (◡ — ◡), wszystkie inne tj. tworzące anapest (◡ ◡ —) np. die-re-win albo daktyl (— ◡ ◡) np. mi-ła-ja mają jeszcze *na wpół długie* sylaby, które tylko znaczkiem ◡ określić się dają. — Nigdy jednak niema dwóch długich, lub jednéj długiéj i jednéj półdługiéj, obok siebie leżących sylab; bez wyjątku przegrodzone są zawsze jedną *krótką* zgłoską. — We wszystkich dłuższych wyrazach, kombinacye rytmiczne są mniejwięcéj te same.

**) Spółgłoski *s* i *z* czytać należy w tym wyrazie nie tak jak niemieckie *sch* lub francuzkie *ch*, ale każdą z osobna.

DWA ŚLUBY.

Szkic

przez

PAULINĘ Z L. WILKOŃSKĄ.

(Dokończenie.)

VI.

Śmierć i żona,
Od Boga naznaczona!
Dawne przysłowie.

Zdala zadźwiękła trąbka pocztarska — dając znak dwukrotnie: *Beiwagen!* — że dwa dodatkowe powozy za zwykłym idą dyliżansem. I lecieli zewsząd, ku gmachowi pocztowemu, kellnerowie, posługacze i tragarze, na pewny licząc zarobek.

Zajechały przed pocztę trzy ciężkie pojazdy — i liczni z nich wysiadali pasażerowie. Z drugiego z kolei wysiadła kobieta wysoka, słuszna, lat sześćdziesięciu, poważna, bystrego siwych oczów spojrzenia przy brwi czarnéj, a włosach dużo już szronem przyprószonych, rysów wydatnych a nieco surowych, — w sukni brązowéj z takiemże okryciem, i kapotce szafirowéj. Za nią spuściła się po stopniach skwaszona panna służąca, w zmiętéj sukni żakonotowéj na ogromnéj a pogiętéj krynolinie — bo ścisk w pocztowym powozie był wielki; obładowana parasolami, płaszczem i wielkim workiem podróżnym.

— *Bitte!* — wymówiła brązowa pani do jednego posługaczy, łamaną niemczyzną — *wo ist goldene Krone!* — i wcisnęła mu srebrny pieniądz w rękę.

Z uniżonością podziękował jéj uradowany: oświadczył gotowość *der Frau Gräfin*, zaprowadzenia jéj pod *złotą koronę* — i odebrał pannie wszystkie manatki które dźwigała.

Gdy stanęli pod *złotą koroną*, poszedł gospodarza zawołać, a przybyła pani przeglądała tymczasem wypisane na tablicy nazwiska osób, dom ten zamieszkujących. Gospodarz nadbiegł z pospiechem, i oświadczył: że dopiero za dni kilka, będzie miał dwa pokoje do wynajęcia.

— *Wo ist das Herr?* — zapytała pani, wskazując mu na tablicy nazwisko: *Leon Ostromski.*

— *Der Herr Graf ist spazieren gegangen.*

— Aha!... Na, *wo ist... wo ist* — zajrzała do pugilaresu i przeczytała: *lajchtende Sztern wo ist?*

Posługacz wskazał, że niedaleko — i skinąwszy uprzejmie gospodarzowi *złotéj korony*, udała się podróżna za przewodnikiem swoim.

Weszła do ogródka — należącego do *błyszczącéj gwiazdy* — gdy w téjże chwili, siedząca pod drzewami Michalina, z wyrazem zadziwienia i radości podniosła się nagle i ku niéj pobiegła.

— Misio kochana! Myszko moja! — zawołała przybyła pani, roztworzyła ramiona — i uściskały się serdecznie: była to pani Ostromska z Sękowa, matka Leona.

Michalina nie zapytywała, co jéj sędziwą przyjaciołkę spowodowało, iż do K. zjechała — i pani Ostromska także nic o tem nie mówiła. Obiedwie o Leonie nigdy do siebie i jednem nic nie wspominały słowem.

Nadeszła pani Żelewska i Stefanija — a Michalina pobiegła zapytać gospodyni: czyliby parę pokoikow do wynajęcia nie miała, — teraz to dopiero z nią pozostałym wyjaśniła pani Ostromska:

— Pisał mi Leon, że jest słaby, chory; zdjęła mnie tęsknota; wiedziałam, że tutaj jesteście także, — i szybko, *z kopyta*, jak to ja umiem, wyrobiłam sobie pasport, a wszędzie sama za nim *drepciłam*. Manatki moje upakowałam *ni pal!* poczem daléjże na koléj żelazną — i jestem z wami! Rada temu z całego serca.

— I myśmy się niezmiernie ucieszyły z téj niespodzianki — wymówiła Stefanija — zwłaszcza też Misia: aż jéj zdrowia przybyło.

— A toćże ona w listach swoich tak mi tutejszą malowała okolicę, że aż brała *oskoma*, i naprawdę że śliczna. Potęskniłabym wszelako do naszych równin: te góry aż niby oddech tamują. Na niedługo to dobrze.

Michalina powróciła z gospodynią, która pani Ostromskiéj dwa pokoiki od tyłu wskazała — i w których też zaraz osiedliła się zmięta panna służąca.

Tymczasem powrócił Leon z Michałem do mieszkania swojego — i gospodarz nie miał nic pilniejszego, jak donieść pierwszemu: że jakaś pani poważna, co tylko pocztą przybywszy o niego się zapytywała.

— To moja matka, ani chybić! zawołał uradowany, a mocny mu na lica wybił rumieniec, gdy gospodarz w dalszym toku opowiadania dodał: że pani ta udała się pod *Błyszczącą Gwiazdę*.

— To moja matka! — powtórzył raz drugi. — Chodźmy do niéj!

Pospieszyli. Ale Michał odprowadził tylko przyjaciela, a sam się cofnął: nie chciał obecnością trzeciego umniejszać uroczystości, zobaczenia się matki ze synem po czterech latach rozłąki.

Pani Ostromska wraz z Michaliną krzątały się właśnie po małych pokoikach ale gdy Leon się ukazał, Michalina skłoniwszy się lekko, z pospiechem wybiegła.

Syn uniżył się do kolan matki — która ze łzami do swojéj przycisnęła go piersi. Potem, w drugim pokoju, przy dzwiach zamkniętych cicha nastąpiła rozmowa.

— A teraz — podniosła się następnie pani Ostromska — zaprowadź mnie do siebie na kawę: objadkiem, sporządzonym na prędce, posiliła mnie Stefka; na kawę zapraszam się do twojéj *Laube*. A może tam zastaniemy i pana Michała, któremu za przyjaźń okazaną tobie pragnę rękę uścisnąć.

Pana Michała zastali. Gospodyni obiecała jak najlepszą kawę zgotować — i wszyscy troje: pani Ostromska, Leon i Michał w cienistéj zasiedli altance.

— Ależ mój Leosiu — odezwała się po chwili dość żwawéj gawędki pani Ostromska do syna — pobiegniéj-no i każ tam pannie dać kawy, aby się nie dąsała znowu: zapomniałam to rozporządzić, wychodząc.

Leon podążył rozkaz matki wypełnić, a pani Ostromska tymczasem. przysunąwszy się bliżéj do pana Michała, zapytała go zcicha:

— A co tam, mój dobry panie, jakżeż tam Leon z Komelskimi... z Misią... to jest: z panią Michaliną? Bo to list jego bardzo mnie zaniepokoił.

— Hm! Arcydziwny to stosunek — odrzekł przyjaciel Leona, patrząc się ku furtce ogrodowéj — powiem tylko pani dobrodziéjce z góry zaraz, że Leon był bardzo cierpko usposobionym w obec pana Feliksa Poraja, towarzyszącego ciągle pani Michalinie; odkąd wszelako dowiedział się, że ten pan Poraj jest mężem kochającym i kochanym jéj siostry ciotecznéj, — stał się wielce uprzejmym, i wiele, bardzo wiele panowie ci teraz z sobą przestają.

Pani Ostromska zaśmiała się — i oczy jéj połysnęły dziwnie.

Potém jeszcze coś tam przyciszonym mówili głosem — a nakoniec jednocześnie ukazał się Leon przy furtce, a rumiana *Lieschen* we drzwiach domu, z ogromnym imbrykiem kawy; z filiżankami z przeróżnemi napisami — i rogalikami świeżemi.

W godzinę potém powróciła pani Ostromska pod *Błyszczącą gwiazdę*. Późniéj przyszedł Poraj z Bolesławem pod *złotą koronę* i zaprosili Michała i Leona na herbatę do państwa Komelskich.

Tak zeszły pierwsze godziny pobytu pani Ostromskiéj w K.

Pełna życia; ruchliwa, chwytająca wszystko umysłem i duszą, rozumna, życzliwa każdemu, miłująca gorąco ziemię swoję i to wszystko co do niéj należy, — pani Ostromska już dnia drugiego wszystkim goszczącym w K. Polakom znajomą była. Wszystko grupowało się koło niéj — i wszystko ożywić umiała. Robiono partye pospołu — a wieczorem zbierano się w *Kurhaus'ie*. — Michalina i Stefanija, oczywiście że wszędzie jéj nieodstępnemi towarzyszkami były — tak samo, jak Poraj z Leonem.

Pan Michał powracał dnia pewnego z rana do mieszkania swojego, gdy z ogródka przy *gwiaździe* wołanie posłyszał:

— Panie Michale dobrodzieju, proszę na słóweczko! — i z poza żywopłotu wychyliła się pani Ostromska w rannem ubraniu.

Udał się pospiesznie na to wezwanie — i usiedli pod drzewami do poufnéj gawędki.

— Mój dobry, poczciwy — zaczęła matka Leona — powiedz mi też, panie, czy Leoś wczoraj lub dziś jakiego nie zrobił ci wyznania? Czyli w nim czego niezwykłego nie spostrzegłeś?

— Nic mi nie mówił, coby jakieśkolwiek znaczenie miało — odrzekł Michał — ale uważałem, że wczoraj wieczorem był jakoś szczególniéj zadumany, ale przytem uśmiechający się i szczęśliwy.

— Otóż wczoraj pod wieczór — mówiła pani Ostromska głosem przyciszonym — chodziła Misia po ogrodzie z panem Porajem. Stefka ubierała się na wieczorek i ja także byłam zatrudnioną u siebie. — A Komelscy obydwaj gdzieś tam sobie poszli. Leon przyszedł.... Poraj, podobno że coś tam zagadał do niego, i złączyli się razem. Co zaś stało się daléj, nie wiem, bo we troje poszli w głąb ogrodu. Gdym potém wyszła od siebie, mówiono mi, że pani Michalina jest w swoim pokoju. Poszłam do niéj, i zastałam ją zapłakaną: siedziała wpółleżąc na kanapie, była bardzo rumiana i mówiła mi, że ma ból głowy. Tymczasem nadeszła Stefka i namówiła ją, by ubrała się także i na wieczór poszła. A to

takie poczciwe, łagodne, powolne, kochane, że i do wszystkiego da się nakłonić, by tylko dogodzić komu, więc i poszła. Za powrotem długo w noc się modliła. — A dzisiaj jakże tam było na promenadzie?

— Widziałem Leona, trzymającego się z Porajem pod ręce, a obadwaj szli obok pani Michaliny.... Ale otóż i nadchodzą wszyscy.

Pani Ostromska spojrzała — i podniosła się na przybycie całego towarzystwa z pod *gwiazdy*. — Michalina była więcéj rumiana, jak kiedykolwiek — i zadumana niby. Leon tak samo. Śniadano pospołu.

Dnia następnego siedział Michał w swoim pokoju, zaczytany w *Gazetę kolońską*, gdy szybko wbiegł Leon, przyskoczył do niego i objął go za szyję. Michał się obrócił — i spojrzał w rozpromienione oblicze przyjaciela.

— Michale! kochany! jedyny! — wołał Leon. — Ty pierwszy dzwoniłeś na to kazanie! Tyżeś najpierwszy przyłożył rękę do mojego szczęścia! — pochylił sie ku niemu i stłumionym dodał głosem: Michalina będzie moją!

— A! Przewidywałem to! — porwał się Michał — winszuję ci z całéj duszy i z serca całego!

— Och, gdybyś widział szczęście matki mojéj kochanéj, poczciwéj!.... Lecz, przyjacielu, towarzystwo tutejsze o niczem wiedzieć nie powinno: chcemy uniknąć komentarzy wszelkich.

— Bardzo słusznie.

— Jutro wyjeżdżam z matką do Z., a pojutrze przybędą tamże państwo Komelscy z panią Zelewską i Michaliną, — a potém wszyscy razem do kraju wrócimy.

— A rodzice.... zwłaszcza też ojciec pani Michaliny?

— Tak — odrzekł Leon nagle zasępiony — myśl ta zatrważa mnie, i zatrważa nas niemało: pan Rowicki jest na mnie oburzony wielce. Ale.... pokładam wiarę i nadzieję w matki nasze.... Chódź! chódź do mojéj *gwiazdy!*

W Radziszewie, państwo Rowiccy oczekiwali powrotu córek i zięcia: powóz i bryka poszły po nich na kolej żelazną. Tymczasem zmierzchać się zaczęło a ich jeszcze nie było — gdy już za dnia stanąć powinni byli.

Pani Rowicka przez dni kilka poprzednich była jakoś szczególniéj niespokojną — jak to uważali domownicy: zakupiła mszą ś. — modliła się gorąco — i duże rozdawała jałmużny. Dzisiaj zaś, widocznie, już i miru nie wiedziała sobie. Poczciwe matczysko!

Podano światło do pokoi. Samowar syczał w kredensie. A z kuchni, w oficynie, bił jasny płomień i było słychać stuk moździerza i siekanie.

Pan Rowicki zasiadł z *Gazetą Codzienną* w ręku, dla skrócenia sobie długiéj chwili — a pani Rowicka, to jedném, to drugiém wyzierała oknem, zmawiając ciche pacierze.



Witek chce rzucić na psa kamieniem.

Wreszcie zadudniało ciężko — przededwór zajechał powóz jeden i drugi — i bryka obładowana.

Tęskna matka pobladła i zadrżała. Pan Rowicki odłożył *gazetę*, zdjął okulary — i posunął się ku drzwiom.

Otworzono je pospiesznie — weszła Pani Żelewska — Komelscy.... Michalinę ktoś wprowadził — i ta para rzuciła się do stóp państwu Rowickim. Michalina z łkaniem tłumionym ku nim wyciągnęła ręce i drżącym poszepnęła głosem:

— Ojcze kochany!.... matko jedyna! Przyjmijcie małżonka mojego! Pobłogosławcie!

— Co to? Kto to? — zaperzył się pan Rowicki.

Wtém wbiegła ukryta dotąd poza drzwiami pani Ostromska, objęła pana Rowickiego w ramiona swoje i donośnie wyrzekła:

— Śmierć i żona, od Boga naznaczona! Bóg tak chciał wyraźnie: Bóg połączył ich znowu: to jest mój syn Leon!

— Raz już nawarzyliście piwa!... I znowu niesiecie mi srom i nieszczęście! krzyknął pan Rowicki, zżymał, rzucał się — słów kilka burzliwszych jeszcze wybiegło z ust jego, które pani Ostromska gwałtem miękką zaciskała dłonią. Gdy wszelako biedna, strwożona matka, trzymająca w objęciu płaczącą Michalinę, nagle w strasznem zawołała przerażeniu:

— Zemdlała!.... zabiłeś ją!

I gdy zobaczył trupio blade oblicze swojego dziecka — gdy spojrzał na klęczącego obok Leon — bladego — przyciskającego do ust rękę Michaliny ze łzami, — to i zawołał:

— Otrzeźwijcież ją do licha!...Wody!... Stefka, wody kolońskiéj!... Przecieżem ja nie okrutnik żaden!... No, otwiera oczy!.... Po cóż mdleć zaraz?... Dziecko moje!... I ty opłakany! nic dobrego! — ujął za głowę Leona — Bóg z wami, moje dzieci! — i sam się rozpłakał.

Na uroczysty obchód potwierdzenia zaślubin młodéj pary — których związek w Częstochowie poświęcony został, — zjechał do Radziszewa i pan Michał Wrotniewicz.

Pamiętnik
Księżnéj G.

z roku 1830 i 31.

z archiwum Muzeum narodowego w Rapperswyl

uporządkował i wyd. H. W.

(Ciąg dalszy).

Odtąd Pani Sobańska szczególne do tego przywięzywała staranie, żeby wszystkie moje uprzedzać myśli i życzenia, żeby jak najwięcéj być ze mną, powtarzając mi, że nie pamięta, żeby spotkała kogo tak łatwego do życia, tak przyjemnego jak ja towarzystwa. To też po kilka razy na dzień u mnie bywała, zajeżdżała na spacery po mnie z dzieckiem, słowem bardzo pięknie i przyjemnie się działo. W charakterze zdawało mi się spostrzegać chęć celowania szczerością, i mówienia, co tylko przyjdzie do myśli, zkąd wypływało, że nie taiła iż co do obyczajów, nie miała prawa być surową dla innych, a co do Ojczyzny tak silnie nas w téj chwili zajmującéj, bardzo jéj dobrze życzyła, ale chociaż się spodziewała, że powstania nie będzie na Wołyniu, Podolu, Ukrainie, drżała jednak o to, bo tam jéj męża majątek, a wtem jéj intrata, interes, chociaż z mężem od lat kilkunastu nie żyła. Te dwie, ze sposobem myślenia mojego niezgodności, przykro mię raziły w osobie z innych miar nader przyjemnéj i tyle starającéj się mię ująć. Nieraz zastanawiając się nad nią, uczułam ból na sercu. — Uważałam także w niéj ciągłe patrzenie na zegarek, pilnowanie szczególne godzin, kwadransów, że tak rzekę sekund, którego przyczyny ani miałam prawa się pytać, ani jéj chciałam dochodzić, lubo mimowolnie nasuwało się podejrzenie. Niemniéj jednak ten sposób wrzuca jakiś niepokój w towarzystwo, przerywając obecność myślą jéj obcą i psuje pewien rodzaj harmonji, do uprzejemnienia stosunków chwilowego na świecie spotkania — tak potrzebny.

Kiedy się Dwernicki zbliżał ku granicy oddzielającéj Polskę tak zwaną w ostatnich czasach, od jéj dawniejszych części i własności — „ach! żeby Dwernicki na Wołyń nie poszedł!“ ciągle jéj powtarzaniem było. Już też on tam wszedł dawno, kiedy ja jeszcze o tem nie wspominałam pani Sobańskiéj, nie chcąc jéj *złéj* powiadać wiadomości, pomimo iż sobie pochlebiałam, że w téj mowie więcéj wesołości i żartu było, niż prawdy.



Rośliny zbożowe z nawodnych mieszkań kamiennego wieku w połowie naturalnéj wielkości.

1. Drobnoziarnista pszenica starożytna (Triticum vulgare antiquorum). 2. Jęczmień sześciorzędny gęsty (Hordeum hexastichum densum). 3. Jęczmień sześciorzędny starożytny (Hord. hex. sanctum). 4. Pszenica egipska (Triticum turgidum). 5. Pszenica dwuziarnowa star. (Trit. dicoccum antiquorum). 6. Proso (Panicum miliaceum). 7. Ber (Setaria italica).

Moja miłość dla kraju szczególnie bawiła Panią Sob. — swoją, jak ona nazywała exaltacją. Zastałam raz u niéj pana *Colloredo*, ministra austr. przy dworze tutejszym. Z nim wiele mówiłam o naszéj rewolucyi któréj ów zdawał się przyganiać, jako nie w porę zaczętéj, nie miał nadziei powodzenia naszego przeciw kolosowi, który nas zgnieść może i musi przy końcu. Słowem, że ja, co mam przekonanie iż Austrya nam skrycie sprzyja, wstrzymując się według odwiecznego jéj Machiwelizmu zwyczaju, od wyjawienia siebie aż do ostatniego momentu, zakonkludowałam w mniemaniu mojem, że Colloredo o tajnościach gabinetu Metternicha nic nie wie i mówi o rzeczach według swego *widzi mi się* i z lekkością pojęcia jemu właściwego. *) Kiedy pani Sob. wyzywała mię, żebym mówiła do jakichbym poświęceń zdatną była dla kraju, na odpowiedź moję, że nie pojmuję dość wielkich, że to, co w życiu najlepiéj kocham, dziecko moje i matkę, gdyby poświęcenie ich użytecznem być mogło Ojczyźnie, ofiarowałabym sama, dekret na nich podpisując. Usłyszałam od p. Colloredo, że to *po spartańsku:* „to tylko *po polsku*“

*) Poseł moskiewski *Gagarin* powiedział Papieżowi, że cesarz pan jego najsilniejsze ma postanowienie nigdy się do życzenia ludów nie przychylić. Tchórzliwość ministerium francuzkiego, nieinterwencya. Król francuzki zdaje się dążyć do wkradnienia się do ulegitymowania się pomiędzy króle dziedziczne przez korzenie czoła, i przystępując do warunków klubu Sgo Przymierza, których zdeptaniem został przez naród na dostojność swoję wzniesionym. — (Przypisek autórki)

odpowiedziałam, dotknięta przycinkiem. Kilka słów jeszcze później zamienionych wzajemnie, dało mi chęć skrytą ukłucia go. Miałam ochotę mu powiedzieć, że brak istnienia władz potrzebnych do stworzenia w nas uczucia, nic nie dowodzi przeciw temu uczuciu. Przekonywa tylko, że ten kto nie jest w stanie, go doznać nie ma prawa o niem sądzić. Zawsze jednak dziwną jakąś nieśmiałością tłumiona słów tych nie wyrzekłam, a p. Colloredo myślał zapewne, że mnie pokonał, wyśmiał, a ja się temu poddałam, — głupiec! Takie po tem spotkaniu odniosłam wrażenie. *)

4 Kwietnia 1831.

Nadeszła w parę dni wiadomość o zwycięztwie Skrzyneckiego 31 Mar. i 1go Kwietnia pod Grochowem i Wawrem. Ta wiadomość napełniła serca nasze nieporównaną radością.

Poznałam z bliska w Dreźnie, p. Jerzego Sobolewskiego, którego widywałam w Polsce. Wielce mi się ten człowiek przez sposób myślenia swego podobał. Szlachetny — ale na piersi chory, nie jest w stanie służenia Ojczyźnie, i przez ten stan gorączki, którą położenie kraju i niemoc bycia mu użytecznym w nim wznieca, jego cierpienia podwaja. Brat jego Józef, będący przy legacji rossyjskiéj w Londynie, porzucił tę służbę, za wybuchem w Polsce rewolucji, pod pozorem złego zdrowia, które ma w istocie zepsute. — Nie tak uczynił p. Leon Potocki, który w Paryżu zaraz zaniósł oświadczenie, że nie należy do powstania narodu, którego zdań się wyrzeka. (Brat to pań: Sobańskiéj i Strzyżowskiéj.) Tak samo miał zrobić p. Matuszewicz.

Jerzy Sobolewski jeździł naprzeciw bratu, który tu się z rodzicami łączy dla pojechania razem do wód szukając tam uzdrowienia. Pani Sobańska zajechała po mnie, jak zwykle, na spacer i wysiedliśmy do Sobolewskich, których synowie w téj chwili byli wrócili. Zaraz pomiarkowałam, że między Józefem, a panią Seweryną jest ścisły stosunek. Byli u mnie obaj bracia nazajutrz. Józef równie żywo i szlachetnie jak brat jego czuje dla Polski. Wiele w téj styczności uczuć naszych doznawaliśmy wzajemnéj przyjemności.

*) Colloredo twiérdził, że mścić się mają prawo Moskale nad powstańcami, bo gdyby u nas niewierni nam byli Polacy, czyżbyśmy ich nie karali? fałszywe rezonowanie, które dziwne daje wyobrażenie o jego rozsądku. Coś podobnego powiedział o prawie cesarza do tronu polskiego. Z ironją pytała Sobańska, czy wierzy, żeby Rüdiger przeszedł pierwszy granicę austr. Col. mówił, że nic nie wie, lecz że korp. Dwer. rozbrojony, według *le droit des nations*. Lecz te wszystkie bezsensy pokrył obietnicą *de la baseule* i powstaniem przeciw p. Sobańskiéj, która naganiała Polaków za rewolucją dowodząc, że to tylko jest środek konieczny, ostateczność dla wybawienia siebie, jak kiedy choremu rękę lub nogę amputują, dla ratowania ciała. Mówiła pani Sobańska, że jest „*la plus soumise et la plus fidêle de sujettes, ce que j'ai relevé en disant à Mr. Col. que j'étais moi au contraire la moins soumise et la moins fidèle, de quoi je mefaisair honneur et gloire.*“ Płakała, że głupstwa męża wpędzą ją w nieszczęście, że nie będzie miała z czego żyć, nawlekając wielkie perły, wartości kilku do kilkunastu tysięcy dukatów, na co się ja uśmiechałam, dowodząc, że w tem znajdzie pewny kawałek chleba. Coll. poparł mię w tem niezmiernie w każdem słowie i poruszeniu robiąc mi awanse, to się dzieckiem mojem zajmując, to do mnie saméj się udając, tak że zniecierpliwiona pani Sob. porywczo wstała i żegnając nas u niéj będących, pierwsza z pomieszkania wyszła. Zeszliśmy ze wschodów. P. Coll. za nią pospieszył. Po tem spotkaniu widziałam w pani Sobańskiéj podłą kobietę, — w panu Coll. dwie osoby. Jednę uczciwego człowieka, drugą ministra, z czego ciągła wynika sprzeczność. Ustawnie człowiek się wymówi z czemsiś — co minister poprawić musi.

17 Kwietnia. Niedziela.

O godzinie czwartéj po południu, ujrzeliśmy przez okno tłumne zebranie pod ratuszem. Że deszcz padał, każdy był pod parasolem. Przypatrywałam się ciekawie temu mnóstwu różnokolorowych okryć, kiedym się dowiedziała, że to *rewolucya.* To staranie się niezmoknienia, i zamiast oręża na placu boju, uzbrojenie się parasolem, bardzo śmiesznie wyglądało. Śmieszność ta, dla mnie, świadka innéj wcale rewolucji tem więcéj się wzmogła, gdym spostrzegła wszystkie okna po domach otwarte, i równo ze mną, wszelkiego wieku Sasów przypatrujących się wypadkom, jakby obcym dla nich zupełnie. Szczególna obojętność! Nie pojmuję wcale, jak można nie mieć zdania i nie wspierać go dzielnie w sprawach domowych. Ujrzałam niebawem; jak się ze dwudziestu, najprzód biło parasolami, a potem pałaszami. Tę reprezentacyą dwa razy miałam. Później Gobbuz jen. przybył konno na miejsce zebrania. Źle go przywitano. Musiał zwrócić konia. Tłuszcza za nim biegła, kamieniami rzucając. Spiął ostrogą konia i czwałem zmykał. Przyszedł także książę Jan, brat regenta.

Te zaburzenia od kilku dni były przewidziane. Był tutaj klub patryotyczny, który rząd wziął w podejrzenie, w mniemaniu, że cele jego są jakobińskie, i szukał zbierania się jego. Po tym zakazie, ześli się klubiści daleko liczniéj niż kiedykolwiek dotąd było. W skutek tego nieposłuszeństwa rozkazom wyższym, rząd aresztował trzech członków. Resztę to poburzyło, do czego się i pospólstwo dołączyło, a zgromadzeni pod ratuszem, wydobyli więźniów przytrzymanych. Przyszła siła zbrojna, wydarła ich, zostali zaprowadzeni do więzienia, czy jak mówią inni do Königstejnu odesłani. Z wieczorem wszystko się uspokoiło, śmiano się i śpiewano po ulicach.

Wojsko po ulicach porozstawiane i gwardja komunalna (komunal-garde) przestrzegały porządku, lubo ta ostatnia rozdwojona zdawała się być, należąc w wielkiéj części do klubu; i to com widziała bijących się, to była ona między sobą.

Między dziesiątą i jedenastą, znów się zbierały tłumy; Wojsko je rozpędzać musiało, przyprowadzono dwie armaty i lubo żadnego wystrzału nie było, ani nawet boju, noc tę miałam niespokojną, mieszkając przy Schlossgasse, między zamkiem i ratuszem.

18go w Poniedziałek, wszystkie sklepy otworzono, targ się odbywał jak zwyczajnie, spokojność zupełna panowała! O 4téj wyszłyśmy z moją matką i dzieckiem dla spaceru. Na Altmarkcie znalazłyśmy z podziwieniem towary sprzątnięte, budy puste, które wywożono. Zbliżyłam się do przekupki, która jeszcze za stoliczkiem siedziała, zapytując: dla czego by to było? Powiedziała, że dla tego, że będzie rewolucja. Rozśmiałam się na tak zimne przygotowania, jakby do balu, kiedyby najwłaściwiéj było rzecz już wiadomą uprzedzić. —

Nie zastraszyło nas to bynajmniéj; poszłyśmy do Strzyż., od niéj do Sobańskiéj. Ta jechała do Jezierskiéj i prosiła, żebyśmy z nią pojechały. Przyjęłyśmy to. Przyszedł tam pod naszą bytność Rembieliński Rajmund. Przybył on tu od dwóch tygodni i bez zwłoki udał się do ministra plenipotenta rossyjskiego, Schroedera, z swojem poczytaniem. Po czem jadł u niego obiad, i odbywszy z nim wizyty, prosił, żeby przez niego został prezentowany *dworowi.* P. Schroeder udał się w téj mierze do *dworu.* Niesłychanie postępek ten poburzył Saksonów i cudzoziemców; Polaków dotknął boleśnie.

Zmawiali się na wyrządzenie mu niepowetowanéj krzywdy, któraby uwieczniła mu pamięć jego hańbienia, stając się razem i karą. Zrażony król, tak fałszywym i tak niskim krokiem, dał mu poniżającą naukę, odmówieniem przyjęcia prezentacyi. Tak jestem przejęta wzgardą dla niego, że gdybym go nie w obcym domu spotkała, gdzie nie chciałam sprawić przykrości, nie wiem wcale cobym mu była mogła powiedzieć. Dość, że wyraz uczuć moich każdy na twarzy wyczytał, i on się na nim nie pomylił. Mianowicie, że często zagadywana przez niego, monosylabami odpowiadałam, i kiwnieniem głowy przy wstępie na ukłon jego odpowiedziałam.

Jest tu także drugi w innym rodzaju nikczemny, Lotich, kupczyk z Warszawy, który ztamtąd uciekł, gdy go miano do Gwardyi Narodowéj zaciągnąć. Jestto rozsiewacz najgorszych wieści, które zapewne sam tworzy, bo zawsze się okazują fałszywe, dobre zaś z wyrazem prawdziwego zmartwienia przyjmuje, co tak gniewa nie już Polaków, ale Sasów, że się namawiają go wybić.

Gdyśmy wyszły od pani Jezierskiéj bulwarem ze Strzyżowską, około godziny ósméj usłyszałyśmy niezbyt odległe krzyki i hałas. Przechodzący Niemiec, cały w skoku, ostrzegł nas, żebyśmy się wróciły, bo ku téj stronie zmierzał rozruch, a za nim wojsko. Strzyżowska uciekać zaczęła, ja także dziecko prowadząc, przyspieszałam kroku. W tem spotkałyśmy trzech idących Polaków: Odyńca, Słowackiego i Strzeleckiego. Ci ofiarowali uprzejmie odprowadzić nas do domu, cośmy z wdzięcznością przyjęły i przez ogród Brühlowski, na Schlossgasse wróciły, spotykając wojsko, armaty i tłumy tu i owdzie idące. Ci panowie nas opuścili i niebawnie usłyszałyśmy strzały. Po trzykroć pierwszy szereg bataljonowy dał ognia do wzburzonego ludu. Kilku było zabitych, czternastu rannych, wielu ujęto. Reszta nocy była spokojna, lubo nie cicha, bo ruch wojska nie ustawał.

19go. Już bud na rynku nie było, tylko stoliki, co niebawem, po odbytym targu posprzątano, gotując się na nowo do zapowiedzianych ostatecznie rozwiązać się mających zaburzeń. Tymczasem dzień się skończył bez hałasu, tak przeszła i noc, lubo wiele pojmano znów wichrzycieli, których najwięcéj z gwardyi komunalnéj. Ci uwięzieni, jedni drugich wydają, wykazuje się: że mieli zamiar wytępić familią panującą, należności nieruchome popalić, choćby zabrać. Rozgałęzienie tego związku daleko jest rozleglejsze, niż z razu osądzić można było, i więcéj uwagi zasługujące, niźli mniemano i okazywano. Celem jego jest obranie jednego monarchy na cały kraj niemiecki, tak dziś początkowany. Myśl ta wszystkim tu panującym zagraża i kiedyś zapewne dójść musi do skutku.

W nocy z 21 na 22 znów ujęto wielu, którzy téj nocy właśnie dokonać mieli dzieła ostatecznie, zapalając miasto na cztery końce, razem z domami królewskiemi i familią tę wygładzić.

Konsul pruski przy dworze tu bawiący, oświadczył królowi, że jeźli dzielnych środków natychmiast nie użyje dla srogiego skarcenia występnych i położenia tamy zaburzeniom, on wnet wyśle kurjera do Berlina, a rząd jego przyśle wojsko, które położy koniec niepokojom.

Jakież poniżenie przyjmować takie prawa od przysłańca obcego! Ileż to samo poburzyćby Sasów nie powinno! Nie żyjąc z krajowcami, nie jestem w stanie sądzić o ich duchu, lecz zapewniają mnie inni, że oni taką mają nienawiść do familii panującéj, za różność religii, która ich zupełnie w mniemaniu Sasów odłącza od kraju, że woleliby przejść pod berło pruskie, tam, gdzie już część ich w zagładzie, bez praw swoich, imienia żyje. Takiéj niskości, tak sprzecznych cywilizacyi wyobrażeniom religijnym wiary dać nie umiem. To jedno zachowują przekonanie, *że cel sprzymierzenia w nadaniu krajom niemieckim jednego konstytucyjnego pana, późniéj, czy prędzéj do skutku doprowadzony być musi!*

(Ciąg dalszy nastąpi.)

DO GITARY.

Wiersz B. Zaleskiego po chorwacku i po polsku.

Mila drugo zelen-vieka Povjernice bolnoj duši, Tvojih struna nujna jeka Neka srdca bol mi gluši.	Towarzyszko życia wiosny! Powiernico tkliwéj duszy, Brzmiących stron twych dźwięk (żałosny, Niech westchnienia me zagłuszy,
S tvojim glasom složi moje San ko vajni trajne boli, Neka jekne dno mi tvoje, Utjehom nek srdce toli.	Niechaj głos twój z moim zlany, Jak ten koi me boleści; Niech odbity o te ściany, Biedne serce tylko pieści.
Miluj srdce, dragaj uha, Mami pjesmom suze vaja, Sviet je meni pustoš gluha, Budni jekom osjećaja.	Upój serce, upój ucho, Łzy wytrącaj śpiewem lotnym, Bo świat dla mnie puszczą głuchą Ty w niéj echem mém samotnym.
Što mi vieka vrieme dade, Vience mira žarko spali; Osim čežnje, osim nade Svuda boli, svud pečali.	W zbiegłych moich lat kolei Nie zaznałem szczęścia wcale; Prócz tęsknoty i nadziei, Ciągły zawód, ciągłe żale.
Časak hrlo čase pudi, Kao cvieće venu ljeta, Kad će minut progon hudi? Kad li muka puta kleta?	Coraz chwila chwilę zgania, Jako kwiaty lata więdną; Kiedyż ziemię tę wygnania, I wędrówkę rzucę biedną?
Vječnosti ah strašnom niesi, Ne ubjegoh smrtnoj kosi, Ljepši dan je na nebesih Kog na zemlji ne izprosih.	Ach wieczności się nie zlęknę, Śmierć nie budzi wstrętu we mnie; Bo tam znajdę te dni piękne, Których tu szukam daremnie.
Mila drugo zelen-vieka, Povjernice bolnoj duši, Tvojih struna nujna jeka Neka srdca bol mi gluši.	Towarzyszko życia wiosny, Powiernico tkliwéj duszy, Brzmiących stron twych dźwięk (żałosny, Niech westchnienia me zagłuszy.

Tłumaczenie chorwackie poezyi Zaleskiego podajemy z illustrowanego pisma: „*Vienac*“ wychodzącego w Zagrzebiu w Chorwacyi. Miłośnikom spraw słowiańskich polecamy to wybornie redagowane pismo. Przedpłata roczna 6 zlr. w. austr.

Powiastka o Wietrze.

Napisała dla młodzieży Eliszka Krasnohorska.

(Ciąg dalszy).

Żal było Dorotce Witka tym więcéj, że ojciec oddał jéj go w opiekę, dla tego przemyśliwała jakby go pocieszyć, ale daremne były jéj usiłowania, g[illegible] naokół nie było nic do jedzenia. W węzełku t[illegible]

nic nie było. Przypomniały się jéj trzy niedojrzałe jabłka, które jabłoń zrzuciła jéj na łono przy pożegnaniu. Rozwiązała tedy swoje zawiniątko, ale jakież było jéj podziwienie, gdy ujrzała trzy jabłka dojrzałe i czerwone, jak gdyby je kto pomalował. Pełna radości dała je Witkowi, a ten wnet je spałaszował, że i ziarnka nie zostawił. Potem trzeba było daléj wyruszyć, ale to mu się nie podobało. „Dosiu, kto wie do jakich ludzi idziemy, a z pewnością zbłądzimy, gdyż wiatr wieje z wszystkich stron, a nie widać nigdzie drogi,“ mówił.

Siostra pocieszała braciszka jak mogła mówiąc łagodnie: „Gdyśmy tyle wycierpieli, to wytrwajmy do końca. Wszak dziś trzeci dzień, a trzy dni trwać ma nasza podróż. Najgorsze już znieśliśmy, bądź odważnym, bracie, gdyż jutro już będziemy u celu.“ Byłby się Witek mimo to wrócił do domu, ale w tych skałach nie było śladu, zkąd przyszli i dokąd idą. Rad nierad musiał Witek iść za siostrą.

Szły długo dzieci wąwozami, w których wiatr syczał, wył i huczał, jakby całe stado psów i wilków ich goniło. Nagle pociemniało, na niebie zaległy ciemne chmury, zaczęło się błyskać, pioruny grzmiały przeraźliwie, a przytem lunął dészcz rzęsisty. Zdawało się, że koniec świata się zbliża. Dzieci skryły się do jaskini. Okropny miały widok. Ciemno było, że oko wykol, a tylko raz poraz ogniste błyskawice rozświecały ponurą okolicę. Gdy grzmot ryczał, to zdawało się, że wszystkie skały runą. Dészcz lał jak z cebra. Przecież po niejakim czasie uciszyło się wszystko — a dészcz przestał padać. Dzieci wyszły z jaskini, a że noc już była, przeto nic nie widziały przed sobą. Szły powoli, a gdy kamień się potoczył, lub woda ze skał padała, stawały słuchając, czy nie usłyszą głosu ludzkiego. Darmo wołał Witek: „Czyż jest tam kto?“ — tylko echo słowa jego powtarzało.

„Gdyby tu był choć dziadek lub babka!“ — pomyślała sobie Dorotka, gdy przeciwnie Witek podniósł w górę zacięte pięści wołając: „O ten niegodziwy wiatr, który nas zagnał do pustyni, a teraz nas opuścił i nie wskaże nam drogi, abyśmy ztąd wyszli.“

Dorotka zdjęła swą chusteczkę z głowy i wionęła w powietrzu, wołając dobry wiatr na pomoc, ale chusteczka przemokła nie wskazywała kierunku, gdyż tak było cicho naokół, że i listek nie byłby się poruszył. Blady księżyc wyszedł z poza chmur i oświecił smutną okolicę. Dzieci ujrzały, że znajdują się pomiędzy posępnemi skałami. Witek prosił choć o kawałek suchego chleba, ale i tego już Dorotka nie miała. Tylko jedno jéj pozostało: a to jéj wielka miłość dla brata. Płaczącego, zziębniętego i głodnego wzięła na łono, przykryła chusteczką i sukienkami, głaskała i cieszyła, aż też sen go zmorzył. Wtedy dobra siostra modliła się gorąco do Boga za braciszka, gdyż tylko o niego miała kłopot, i jego cierpienia ją bolały gdyż o siebie była spokojna w tém przeświadczeniu, że w podróży, która miała cel poczciwy, pobłądzić nie może. Wtem usłyszy naraz jakoby psa szczekanie, widać że było ludzkie mieszkanie w pobliżu. Brat spał, wzięła go tedy na ręce i niosła, choć było jéj ciężko, i szła w stronę, zkąd ją dolatywało szczekanie.

Ledwie wyszła za pierwszą skałę, aliści odezwało się straszne wycie i brzęk łańcucha, a wnet zobaczyła opustoszoną chatkę, podpartą podporami i jakoby przylepioną do skały. Groźny pies z łańcuchem na karku obchodził chałupkę naokół i szczekał przeraźliwie. Witek się obudził, a rozgniewany, że go pies przebudził, chwycił za kamień i chciał nim psa ugodzić. Pies zaczął wyć głośniéj, a zdawało się jakoby wiatr świszczał z jego jamy. Dorotka natomiast łagodziła psa miłym głosem mówiąc: „Tyś dobry piesek, gdyż twój głos mi wskazał, że tu jest chatka.“ Pies zaczął się łasić i pozwolił jéj wejść do chałupki, ale na Witka wyszczérzył zęby i mruczał.

Dorotka się atoli omyliła, gdyż tu ludzie nie mieszkali. Chacisko było bez drzwi i okien z dziurawą strzechą. Jednakże dzieci były rade, że się mogą gdziekolwiek przespać. Były wprawdzie głodne, ale tu nie było nic tylko kamienie i glina. Witek z głodu nie mógł usnąć. Przypomniał sobie, jak mu w południe smakowały Dosine jabłka. Wiedział, że i on ma trzy w swym węzełku, zatem pocichu w kątku je wyjął, aby według słuszności nie dać choć jednego siostrze, odrzucił je wnet jednak, gdyż były twarde jak kamienie, nie dojrzały mu bowiem, jak to się stało Dorotce. Położył się rozgniewany, ale nie mógł spać ani też Dosia, gdyż pies wciąż obchodził chatkę, wył i pobrzękiwał łańcuchem, a gdy potrząsnął siercią, wnet wiatr szedł z niego do chaty. Naraz zaczął skakać i skomleć. Wnet słyszeć było można, ze ktoś się zbliża i z psem się ciećka. Niedługo wszedł do chałupki dziadek z siekierą, w podartéj sukni z potarganemi od wiatru włosami i wąsami. Trząsł się ze zimna, zacierał ręce i spoglądał dziwnie na dzieci. Wnet za nim weszła babina w podartéj sukni, z kosą na ramieniu. Spojrzała na dzieci i rzekła chrapliwym głosem: „Te dzieci spotkałam w méj podróży.“ —

„Ja je także spotkałem“ — odrzecze dziadek.

Dzieci udawając, że śpią mocno, słuchały pilnie téj rozmowy.

Ciąg dalszy nastąpi.

ZAGADKA.

Gdy pierwsza piątka głosek, przed okiem badacza
Przedpotopowych kształtów widoki roztacza,
I staje się podstawą obszernéj nauki;
Gdy przed nią na kolana upadają wnuki —
Rzucona pojedyńczo, jest godłem niezgody;
Zmielona, prozaicznie mnoży ziemskie płody.
Od mocy dalszéj piątki, ostatniéj przed końcem,
Zależą losy wszystkich dzbanuszków pod słońcem,
A całość razem wzięta: wódz jakich nie wielu;
Ach! szkoda że tak prędko spoczął na . . . . . . —

S. T. D.

Redaktor i nakładca Józef Chociszewski w Poznaniu — Czcionkami H. Schmaedickiego w Poznaniu.